

Jan Bieńkiewicz  
29. Bibby str.  
HAMILTON 2303 NSW  
AUSTRALIA

II/613

© ARCHIWUM WSCHODNIE

prezesa

Kontak

p. Irene Kuray  
Kornisz 46 w 56  
tel 48 11 16

### M O J O J C I E C - HENRYK BIENKIEWICZ

Urodził się w roku 1882, w Suwalszczyźnie, z ojca Feliksa i matki Henryki z Gutowskich. Dlaczego zdecydowałem się opisać jego życie? Bo uważam, że należy się to Jego pamięci: był nie tylko człowiekiem do gruntu szlachetnym, szczerym patriotą, ale - co jest też chyba ważne - znał wiele szczegółów polityki Polski w okresie międzywojennym, więc także ze względu na wartość historyczną warto Jego życie i działalność podać do wiadomości publicznej.

Jest jeszcze inny powód. Sądzę, że był przedstawicielem pokolenia, które budowało naszą niepodległość nie tyle z bronią w ręku, ile ciężką i ofiarną pracą - często niedocenianą. W naszym społeczeństwie praca była, i chyba wciąż jest, uważana za coś gorszego niż głoszenie szumnych haseł... I tu mi się przypomina wiersz Kasprowicza: "Rzadko na moich wargach, niech dziś to warga ma wyzna, jawi się krwią przepojony najświętszy wyraz - Ojczyzna.."

Postanowiłem zacząć ten opis od Jego lat najmłodszych, gdyż wydaje mi się, że to właśnie atmosfera i stosunki panujące w owych czasach wpływały na tworzenie się takich jak Jego charakterów.

Ojca stracił gdy miał lat mniej niż dziesięć. Jego matka pozostała bez środków do życia, a miała do wychowania Jego, oraz młodszego Jana. Nie jest dla mnie całkiem jasne dlaczego rodzina zmarłego Feliksa nie zajęła się losem wdowy i sierot, pomimo, że jak wynika z papierów rodzinnych bliscy krewni posiadali dwa majątki: jeden gdzieś pod Kownem, a drugi w Mińszczyźnie - Wasiukowszczyznę. Z opowiadań Ojca wynika, że chłopcy spędzali wakacje letnie u stryja pod Kownem, ale że to była chyba jedyna forma pomocy.

Nasuwa się przypuszczenie, że powodem tego niejako ostracyzmu było frankistowskie pochodzenie ojca matki. Zarówno jej panięskie nazwisko - Gutowska, jak i herb - Ciołek - na takie pochodzenie wyraźnie wskazują. Są zresztą i inne dowody, abym taką wersję przyjął. Dzisiaj inaczej na te sprawy patrzymy. Wówczas "Stara Szlachta" uważała małżeństwo z frankistą za wielki mezalians...

Moja babka była chyba nieźle wykształcona, gdyż zdołała utrzymać rodzinę udzielając płatnych lekcji, a z czasem nawet odłożyć jakiś kapitalik. Na krótko przed wybuchem Wielkiej Wojny przeniosła się na

Ukrainę, do Krzywego Rogu, gdzie otworzyła mały pensjonat. Zresztą może pomogła jej rodzina...?

Dobrze ją pamiętam. Miałem 11 lat gdy zmarła w roku 1929. Pisała i mówiła śliczną polszczyznę, może nieco staroświecką, i była naprawdę odczytana. Swym ukochanym wnukom gotowa była darować wszelkie wybryki za wyjątkiem... błędów ortograficznych! Nie mogła zrozumieć dlaczego "nie słyszymy" różnicy pomiędzy "ch" i "h", a nawet "rz" i "ż". Jej synowie, Henryk i Jan, zapewne nie sprawiali jej takich kłopotów. Musieli się uczyć doskonale, bo od najwcześniejszych lat zarabiali korepetycjami. A nie były to czasy łatwe: ojciec pamiętał kary za mówienie po polsku... Z dumą opowiadał, że zarówno gimnazjum jak i politechnikę ukończył o własnych siłach. Bardzo też wcześnie zaangażował się w pracy politycznej - wraz z bratem wstąpił do PPS. Jan zapłacił za to rocznym pobytem na Syberii, skąd uwolniła go jakaś amnestia - chyba po 1905 roku.

Ojciec miał więcej szczęścia, bo obyło się tylko pobytem na Pawiaku, gdzie dostał się w czasie demonstracji studenckich w Warszawie, gdzie studiował. Opowiadał o tym z humorem: duża grupa studentów zamknięta na Pawiaku doprowadzała naczelnika więzienia do rozpaczliwego śpiewaniem patriotycznych pieśni, co powodowało gromadzenie się na sąsiadującej ulicy tłumu warszawiaków! Komendant, obiecując różne ulgi, wręcz prosił aby przestali. Swoją drogą inne to były stosunki: spróbowaliby takiej akcji w więzieniach NKWD czy Gestapo... Po kilku miesiącach zwolniono Go - z "wilczym biletem", to znaczy bez prawa studiowania na terenie Cesarstwa.

Postanowili wtedy z bratem wyjechać do Galicji, aby tam wstąpić na politechnikę. Wyłoniła się jednak poważna trudność: Jan nie miał prawa przekraczać granicy... I tu następuje zupełnie anegdotyczna historia o tym, jak oszukali władze, zresztą też chyba typowa dla ówczesnych stosunków.

Kupili bilety do Krakowa. Na stacji granicznej Ojciec stanął na początku kolejki do odprawy paszportowej, a Jan daleko na końcu. Żandarm sprawdzał nazwiska na liście "nieprawomyślnych" i gdy znalazł: BIENKIEWICZ, aż podskoczył!

- Syn Feliksa? - krzyknął.
- Tak - odpowiedział Ojciec.
- Tobie nie wolno opuszczać granic Imperium!
- Nic o tym nie wiem - odpowiedział Ojciec.

Wymiana zdań trwała dobrych kilka minut, aż wreszcie żandarm wpadł na pomysł zapytać o imię... Gdy usłyszał: "Henryk" strasznie się zdenerwował, zwymyślał Ojca, ale w międzyczasie reszta czekających weszła

do wagonów,,,I tak obaj bracia dostali się do Galicji i zapisali na studia w politechnice lwowskiej. Niestety i tam miewał Ojciec częste wizyty miejscowej policji,która mu uprzejmie radziła aby znalazł sobie inne miejsce na studia. Przeniósł się do Pragi Czeskiej,a po podobnych jak we Lwowie radach - do Niemiec, gdzie także niedługo przebywał. Studia swoje wielokrotnie przerywał na pracę zarobkową. Wiem,że przez jakiś czas jeździł na lokomotywie jako pomocnik maszynisty;zarabiał pisząc dla kolegów prace techniczne;dawał także korekty,między innymi swej przyszłej żonie - Eugenii Wasiłowskiej - gdy pracował jako inżynier /jeszcze bez dyplomu/ w fabryce jej ojca w Krzywym Rogu.

I to właśnie Mama przerwała 17-letni bez mała okres ojcowego studiowania,stawiając uzyskanie dyplomu jako warunek zgody na małżeństwo. Korzystając z anulowania "wilczego biletu",jeszcze przed wojną,po ukończeniu obowiązkowej służby wojskowej dostał się na politechnikę w Charkowie,gdzie uzyskał dyplom już w czasie wojny.Ożenił się w roku 1917.

w 1915 roku zginął w Karpatach jego brat,Jan.

Wybuch rewolucji zaskoczył go w wojsku,w artylerii. Lubiany przez żołnierzy uniknął losu wielu oficerów: jego ordynans przemycił go w przebraniu do Krzywego Rogu,i"doręczył" mojej matce ze słowami: "Masz,Barynia,swego męża. Ja teraz idę robić rewolucję..." Takie to były czasy.

Cała rodzina wróciła do Polski w ramach umowy repatriacyjnej via Morze Czarne i Rumunia. Ojciec natychmiast wstąpił do wojska,uzyskując stopień porucznika inżynierii wojskowej. Pracował w sztabie. Awansował bardzo szybko. Gdy w 1923 roku wystąpił z wojska- był już majorem.

Był jakoby bardzo podobny do Marszałka Piłsudskiego- pewnie głównie ze względu na wąsy - i do dziś w rodzinie krążą związane z tym anegdoty: o tym jak kiedyś w Warszawie wszedł na salę balową i obecni tam oficerowie zerwali się stając na baczność; o pasażerach pociągu dyskretnie opuszczających przedział, do którego "wszedł Marszałek podróżujący incognito..." i tym podobne.

Po ukończeniu jakichś kursów administracyjnych został mianowany starostą w Sejnach,które wówczas były miastem powiatowym. Miałem wtedy 5-6 lat i dość dobrze pobyt w tym ślicznym miasteczku pamiętam. Czasy były niezmiernie trudne. Granica z Litwą w dużym stopniu "płynna" i przez Litwinów nie uznawana,ze względu na niedotrzymanie przez nas warunków Umowy Suwalskiej,oraz z powodu słynnego "Buntu Żeligowskiego". Nie wchodząc w polityczne zawikłania wiem i pamiętam co się wtedy w Sejneńszczyźnie działo. A działo się źle. Napady

dzącego do wagonu. Na żądanie, aby zatrzymał marsz Żeligowskiego na Litwę Dziadek odpowiedział, że przecież "Buntownik" jego rozkazów nie słucha...

- To co Pan nam radzi robić? - zapytali.

- A no idźcie i zatrzymajcie go...- odpowiedział z uśmiechem.

Delegacja, jak to było zresztą w programie, udała się do "Buntownika", który bardzo stanowczo oświadczył, że nikogo nie słucha, że reprezentuje tylko prawdziwą wolę mieszkańców Kresów itp. Wreszcie zapytał:

- A co powiedział wam Marszałek?

- Idźcie i zatrzymajcie go.

- Tak powiedział? - zapytał mocno zafrapowany generał.

Zatrzymał ofensywę i skompromitował cały plan.

Ile w tej historyjce jest prawdy, a ile fantazji podchmielonego dyplomaty? Faktem jednak jest, że generał Żeligowski "wypadł z łask" Marszałka.

Ludność Sejn i okolic w owych czasach stanowiła bardzo ciekawą mieszaninę wielu grup etnicznych, żyjących zresztą ze sobą w zgodzie. Sporo było Rusinów, masa Żydów, kilka wiosek litewskich, osady Starowierców, oraz - oczywiście najliczniejsza po Żydach - ludność polska. Sądzę, że takich patriotów jak tamtejsi Polacy niewielu możnaby znaleźć w innych dzielnicach. Był to patriotyzm jakby odmienny: ludzie ci żyli wciąż tradycjami Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Powstań... Sybiru... Oddalonym od centrów polityki i tzw. "postępu" wszystko co polskie wydawało się z natury słuszne i szlachetne. wręcz idealne. Co więcej - w potrzebie dawali dowody swego patriotyzmu i te ich ideały przetrwały długie lata.

Na Litwę, już niepodległą, patrzyli jakby z niedowierzaniem i chyba z nadzieją, że to się zmieni, że "Oni" kiedyś się przebudzą i znowu będzie ta ukochana "Obojga Narodów..."

Nie było nienawiści, raczej stosunki jakby między skłóconym rodzeństwem. Do tego dochodził kult Marszałka, który przecież był z ich stron i który kiedyś na pewno skłócone narody połączy...

Suwalskie i Grodzieńszczyzna zapisały się w mojej pamięci jako tereny, których mieszkańcy mówili o przeszłości, o czasach przedrozbiorowych - jakby to było nieledwie wczoraj. W Grodnie pokazywali dom "Pani Orzeszkowej" jak dom dobrej sąsiadki. Trudno te wrażenia zdefiniować, ale tak to odczuwałem, oczywiście nie jako kilkuletnie dziecko lecz już później, gdy odwiedzałem te okolice.

Sejny odwiedził Prezydent Wojciechowski. Oczywiście była defilada przemówienia itd., ale przy okazji miejscowe panie popełniły wielkie

Szaulisów były na porządku dziennym: po nich następowały "karne" wypadki naszych wojsk itd.itd...

Utkwił mi w pamięci obraz Ojca wyjeżdżającego gdzieś służbowo w teren i wręczającego Matce mojej pistolet ze słowami: "Żywa im się nie daj!" A jednocześnie, przy całym tym napięciu, było stosunkowo łatwo przejść lasem granicę w poszukiwaniu grzybów...Dziwne to były czasy...

Mieszkaliśmy w dawnym pałacu biskupim, w którym również mieściły się urzędy starostwa i wydziału powiatowego. Bydunek był mało zniszczony lecz owiany nimbem tajemniczości: ludność miasteczka twierdziła że w nim straszy! To zapewne szczury przyczyniły się do powstania tych wierzeń choć przyznam, że sam przeżyłem sytuacje dla których nie znalazłem logicznego wytłumaczenia. Pamiętam, że Ojciec gdzieś wyjechał. Mama czytała książkę a ja bawiłem się przy stole. Był wieczór i zupełna cisza. W pewnej chwili ktoś zapukał do drzwi gabinetu Ojca, sąsiadującego z pokojem w którym się znajdowaliśmy. Mama odpowiedziała: "proszę", sądząc, że to może być jakiś zapóźniony urzędnik. Ale nikt nie wszedł, natomiast pukanie się powtórzyło. Mama podeszła do drzwi... otworzyła je - nie było nikogo. Gdy za trzecim razem rozległo się pukanie i...poruszyła się klamka - Matka złapała mnie w ramiona i wyniosła w drugi koniec mieszkania. Czułem, że była przerażona, choć starała się tego nie okazywać. Później opowiadała o tym wielokrotnie ku wielkiej uciechu Ojca, oskarżającego o te sensacje miejscowe szczury.

Ojciec był wspaniałym gawędziarzem. Jego barwne opowieści utrwały się w mej pamięci z ostrością przeżytych faktów. Nie powinno więc nikogo dziwić zamieszczenie ich w tych wspomnieniach. Szczególnie że miał o czym opowiadać...Jedną z wielokrotnie powtarzanych przez niego historyjek dotyczyła wspomnianej już poprzednio wyprawy gen. Żeligowskiego. A oto ona:

W związku z ciągłymi zatargami na granicy z Litwą przyjechała do Sejnu Komisja Ligii Narodów. Po zakończeniu jej misji władze podjęły członków Komisji wystawnym przyjęciem. Ojciec siedział przy stole obok jakiegoś delegata, czy dyplomaty, z Południowej Ameryki. A że obaj mówili po francusku i trochę po niemiecku więc rozmowa, często przerywana toastami, była serdeczna i ożywiona...W pewnym momencie Ojciec usłyszał:

- Wy, Polacy, moglibyście mieć całą Litwę, gdyby nie generał Żeligowski - zaopiniował Ojca rozmówca i zaczął opowiadać zupełnie niezwykłą historię. Twierdził, że był wśród grupy przedstawicieli Ligii Narodów, wysłanej celem zbadania sytuacji w związku z "Buntem". W Warszawie zdołali złapać Marszałka na dworcu kolejowym, już wcho-

faux pas: klejąc z bibułki narodowe chorągiewki umieścili czerwony na górze! Gdy się ktoś zorientował - było już za późno, aby poprawić. Czy Prezydent to zauważył - tego nie wiem, ale miasto wielce się tej gaffy wstydziło! Nawiasem dodam, że tam i wtedy za barwy narodowe uważano białe i amarantowe - nie czerwony. Czyżby jakieś pozostałości tradycji napoleońskich i Księstwa Warszawskiego?

W roku 1925 został Ojciec przeniesiony do Kolna - stolicy Kurpiów - o których pisze Gloger, że: "W roku 1809, podczas napadu na Księstwo Warszawskie Austriaków, odznaczyły się nad Bugiem bataliony strzeleckie Kurpiów... Oddział tych Kurpiów, złożony z leśniczych departamentu Łomżyńskiego, tworzył korpus strzelców konnych... Kurpie, żywieni tylko, lecz bez płacy, służyli ochoczo."

Z przeniesieniem tam Ojca łączy się zupełnie autentyczna awantura tzw. "Rzeczpospolitej Kurpiowskiej", którą zresztą już raz opisałem na łamach "Zeszytów Historycznych" paryskiej Kultury.

Sprawa miała się tak: za jakieś zaległe podatki tamtejszy starosta, Bronisław Brzęczek, zareagował zapewne zbyt ostro wysyłając celem egzekucji podatków komornika w asyście policji. Chyba nie liczył się z "puszczańskim honorem" zawsze wolnych Kurpiów, ci bowiem, obrażeni, nie tylko przepędzili komornika rozbrajając jego asystę, ale "manu militari" zajęli Kolno i... ogłosili "Niezależną Republikę Kurpiowską". Przepędzili miejscowe władze, nie czyniąc zresztą nikomu krzywdy. Sytuacja była o tyle skomplikowana, że nasi sąsiedzi - Niemcy i Rosja tylko czekali na okazję oskarżenia Polski o prześladowanie mniejszości narodowych. Rząd więc robił - co mógł - aby sprawę zatuszować.

Przeniesienie właśnie Ojca w tym czasie do Kolna spowodowane było zapewne jego stosunkiem do spraw wsi. Uważany był - nie bez racji - za wielkiego "chłopomana", jak to się wtedy nazywało.

Kolno zastał Ojciec już spokojne. Kurpie wrócili do swoich normalnych zajęć gospodarskich i pozostała jedynie do rozwiązania sprawa zaległych podatków. Wybrał się więc Ojciec do najbardziej "rebelianckiej" wsi w towarzystwie tylko komendanta policji - bez broni. Już na drodze spotkał ich spory tłum, uzbrojony w kosy, widły ale także i karabiny - pozostałości po wojnie. Ojciec wysiadł z powozu i podszedł do tłumu.

- Was jest wielu i macie broń, a ja sam i tylko z laską, więc się bić nie będziemy... - powiedział.

Zostało to przyjęte ze śmiechem i obie strony już zgodnie poszły do karczmy "na pertraktacje". Kurpie wcale nie negowali konieczności płacenia podatków, tylko absolutnie nie godzili się z formą ich zbierania.

Uгода była już niemal zawarta, gdy tłum bab- pewnie bardziej łąsych na pieniądze - zaczął podjudzać mężów do oporu. Uwaga Ojca:

- Tacy to wy i gospodarze, że się bab słuchacie i boicie...- uratowała sytuację. Podatki zostały zapłacone i o "Kurpiowskiej Republice" przestano mówić.

Gdy przenoszono Ojca do Grodna /w myśl zasady administracyjnej: "aby się nie zasiedziało"/ pojechały do Warszawy delegacje Kurpiów prosząc, aby go nie ruszano. Nic to nie pomogło. Starosta podobno nie powinien być zbyt w powiecie popularny!

Grodno pozostanie w mej pamięci jako chyba jedno z najbardziej polskich miast. Jak już wspomniałem, było niejako przesiąknięte polszczyzną. Taką nieco staroświecką, niedzisiejszą, romantyczną, tradycyjną a zarazem jakże żywą. Nadal nie mogę pogodzić się z myślą, że jest już poza granicami naszego kraju choć rozumiem, że nastąpiły zmiany nieodwracalne.

Miasto i okolice pełne były zabytków przeszłości, podań, pamiątek, jak Zamek Batorego czy słynna Świątynia na Kołozy, zbudowana na wiele lat przed chrztem Litwy. Niestrudzony, pełen entuzjazmu kustosz miejskiego muzeum, Jodko Narkiewicz, jakże ciekawie potrafił opowiadać miejscowe legendy i podania. Pod Grodnem, w drodze do Druskiennik, był głęboki jar, bagnisty i poryty gęstwiną karłowatych drzewek. Zwał się Rajgród i ludzie wierzyli, że był tam niegdyś duży i bogaty gród lecz zapadł się pod ziemię za grzechy mieszkańców... Zapewne było to po prostu stare łożysko Niemna.

Podczas prac wykopaliskowych na Zamku znaleziono ogromną płytę kamienną, a raczej głaz z grubsza ociosany, z wyrytymi herbami Polski i Litwy, a bodajże i Rusi.

Do pobliskich Druskiennik przyjeżdżał na wakacje Marszałek. Zapewnienie mu bezpieczeństwa, ochrony przed zamechem, było ogromnie utrudnione, bo Dziadek nie znosił "opieki" i bezbłędnie rozpoznawał agentów bezpieczeństwa. Zapewne nauczył się tej sztuki w czasach konspiracji. Chodził, wbrew prośbom i argumentom, sam po parku i okolicach i biada jeśli zauważył strzegącego go agenta! Potrafił nie tylko go zwymyślać, lecz nawet kropnąć laską! W dodatku miał zwyczaj siadywać na brzegu granicznego Niemna i po litewsku rozmawiać z piorącymi bielizną Litwinkami... Jeden strzał z tamtej strony! Nic dziwnego, że miejscowe władze rade były, gdy wracał do Warszawy!

Ojciec, idąc raz do niego z oficjalną wizytą, zabrał ze sobą mojego młodszego brata- Bronka, którego Marszałek natychmiast posadził sobie na kolanach. Kochał dzieci i potrafił z nimi rozmawiać. O ile moje "wyliczenia" są prawidłowe - był to rok 1927.

Ojciec, przy całym swym przejęciu się sprawami wsi, miał do Marszałka ogromny sentyment i uważał, że był to jedyny wśród naszych polityków człowiek rozumiejący potrzeby kraju i niebezpieczeństwa nam grożące, a przy tym absolutnie czysty i uczciwy. Tu nie mogę pominąć obrzydliwej nagonki na Marszałka, jaką prowadziły koła tzw. Narodowej Demokracji. Trzeba przyznać, że robiona była naprawdę "fachowo". Plotki, że tak to skromnie nazwę, kierowane były w zależności od treści do odpowiednich warstw ludności. I tak, do tych najmniej wykształconych, trafiały bajeczki jak to Piłsudski ukradł koronne klejnoty i jak zdradzał wojenne plany via linia telefoniczna na Kreml... Jakoś nikomu nie przyszło na myśl zapytać, czemu nie uprzedził Lenina o swym ataku na lewe skrzydło Bolszewików w 20 roku? Może telefon się akurat zepsuł?

Dla bardziej umysłowo rozwiniętych rozpuszczano wersje, że wojnę wygrał nie Marszałek na czele Polskiej Armii, tylko - w zależności od tego kto słuchał - albo Francuzi, albo Siły Niebiańskie pod wpływem ks. Skorupki, plus ataki dzieci ze szkół warszawskich. Inni znów twierdzili, że zwycięzcą był gen. Haller, który zresztą uczciwie nigdy takich pretensji nie zgłaszał.

Dla rodzimych antysemitów szły pogłoski, że Marszałkowa - Aleksandra - jest Żydówką... To szczególnie Ojca denerwowało, gdyż znał ją i jej rodzinę jeszcze z czasów szkolnych i bodajże tańczył z nią na jakichś domowych balikach. Jego twierdzenia, że pochodziła z czysto polskiej rodziny, były przyjmowane z uśmiechem politowania dla jego naiwności... Przecież "Oni" wiedzieli lepiej...

No i jeszcze, na zakończenie doszła wersja, że umarł na chorobę wene-ryczną, w co wierzyli nawet poważni ludzie nie biorąc pod uwagę faktu że przecież miał zdrowe dzieci i że cudzoziemscy specjaliści próbowali go leczyć na raka - niestety zbyt późno!

Przy całym swym kulcie dla Marszałka nigdy Ojciec nie próbował wyciągać z tego jakichkolwiek osobistych korzyści. Raczej przeciwnie nie wahał się mówić swego zdania otwarcie swym przełożonym, gdy się z nimi nie zgadzał, za co zresztą odcierpiał. Ale na ten temat powiem więcej w dalszym ciągu mych wspomnień.

Do Ostrołęki został przeniesiony w r. 1928 i w tymże roku zmarła jego ukochana żona, moja matka. Gospodarstwem zajęła się Babcia Bieńkiewiczowa.

Ostrołęka w owych latach było to małe, brudne i zanidbane miasteczko, któremu trochę "tonu" nadawał dość liczny garnizon. Ojciec, jak zwykle przejęty sprawami powiatu i swym "hobby" - budową dróg oraz dbałością o poprawę warunków pracy i życia na wsi, z entuzjazmem dołą-



czył do powiatów łomżyńskiego i kolneńskiego w spółce zorganizowanej dla osuszenia bagien kurpiowskich w dorzeczu Pissy. Trudności były poważne: brak środków finansowych - tylko częściowo pokrywanych szarwarkiem - a także konserwatywne nastawienie ludności. Trzeba było wiele wysiłków, aby przekonać Kurpiów że osuszanie bagien wyjdzie im na dobre i że zamiast kwaśnych łąk będą mieli pola uprawne. W korzystnym załatwieniu sprawy pomógł autorytet Ojca i zaufanie, jakim darzyli go Kurpie od czasów słynnej "Rebelii".

Bagna zostały osuszone a najciekawsze w tej historii jest to, że teren uzyskany do użytku rolników był większy niż powierzchnia Bagien Pontyjskich, z osuszenia których tak dumny był Mussolini! Ojciec mówił o tym z goryczą: osiągnięcie Mussoliniego zadziwiło cały świat, a o tym co myśmy tu zrobili mało kto nawet w Polsce słyszał...

W 1930 roku znowu przeprowadzka. Tym razem na północny zachód - do Kartuz. Śliczne, czystutkie miasteczko, położone wśród jezior i lasów w malowniczej Szwajcarii Kaszubskiej. Tu stosunki były zupełnie inne. Daleko wyższy poziom życia, wynikający z lepszego wykształcenia i szacunku do pracy ludności. Bezwzględna niemiecka gospodarka niszcząca słabsze i mało-wydajne gospodarstwa, wykształciła w Kaszubach cechy obce mieszkańcom południowej Polski.

Byłem już w gimnazjum i wiele rzeczy mnie raziło: i to, że koledzy z dumą mówili po kaszubsku; iż uważali, że podobnie jak Śląsk winni mieć własny Sejm... Doskonale znali historię Księstw Pomorskich. Mnie się to wówczas wydawało wręcz niepatriotyczne... Lecz lata ostatniej wojny wykazały, że Kaszubi potrafili połączyć swój dzielnicowy separatyzm z polsnością a w wiele lat później dowiedziałem się, że Pomorze w 1920 roku dało najwyższy procent ochotników... O tym, niestety, też mało kto wówczas wiedział!

W 1930 roku Ojciec, po śmierci swej matki, ożenił się po raz drugi z daleką krewną mojej Matki, Marylą Hegner. Małżeństwo, zawarte może trochę "z rozsądku" okazało się kochającym i szczęśliwym. Ona była dla nas naprawdę drugą matką, a w czasie najazdu Sowieców w 1939 roku zachowała się po bohatersku, poświęcając własne bezpieczeństwo dla swej przybranej rodziny. Zapłaciła za to długim pobytem w Kazachstanie i niemal utratą wzroku z powodu awitaminozy.

Nasz pobyt w Kartuzach trwał krótko. Ojciec odmówił nielegalnej współpracy z województwem w organizacji wyborów do Sejmu i nie wstąpił do BBWR. W rezultacie znalazł się "w niełasce".

Przeniesiono Go do Garwolina. To, że nie usunięto go wogóle ze stanowiska zawdzięczał chyba temu, że cieszył się doskonałą opinią jako powiatowy administrator oraz obawie, że mógłby opowiadać zbyt wiele

na temat organizacji wyborów.

Z pobytu w Kartuzach zapamiętałem dwa, dość może komiczne zdarzenia. Otóż wkrótce po przyjeździe i objęciu funkcji miał Ojciec wizytę wojewody toruńskiego nazwiskiem, o ile dobrze zapamiętałem - Galot. Spędził na terenie powiatu dzień, zapoznając się z problemami i gospodarką. Pamiętam, że wyglądał nader "nobliwie" i poważnie... Ojciec skomentował jego wizytę uwagę, że wojewoda jest bardzo mało mówny i że jego odezwania ograniczały się do krótkich uwag. Wkrótce potem wybuchł skandal na skalę krajową: "wojewoda" okazał się zwykłym aferystą bez wykształcenia... Chyba nigdy nie zostało wyjaśnione jak doszedł do tego stanowiska. Zyskał na tym Dołęga-Mostowicz: miał temat do powieści "Kariera Nikodema Dyzmy"!

Drugie zdarzenie miało zasięg lokalny: miejscowe sejmikowe gimnazjum ogłosiło konkurs na stanowisko dyrektora. Spośród kilku zgłoszeń wybrano kandydaturę człowieka posiadającego doskonale dyplomy i najlepsze referencje. Szczęśliwy wybraniec trwał na swym stanowisku znacznie krócej niż Galot na województwie: okazało się, że jego kwalifikacje ograniczają się do złożenia podpisu. Z czytaniem i pisanym już było gorzej. Dyplomy i świadectwa były doskonale sfałszowane.

Ogromne wrażenie zrobiły na Kaszubach wielkie manewry - pierwsze na taką skalę od uzyskania niepodległości, przeprowadzone na tych terenach. Defilada przyjęta była z entuzjazmem. Kaszubi mówili Ojcu, że choć pamiętają armię niemiecką jako doskonale wyszkoloną i zdyscyplinowaną - to nasze wojsko wyglądało i zachowywało się jeszcze lepiej. Na zakończenie manewrów Ojciec zaprosił na obiad grupę wyższych oficerów. Zafascynowany mundurami, szablami itd. z nabożeństwem przysłuchiwałem się rozmowom. A trzeba przyznać, że były ciekawe: wszyscy oficerowie twierdzili, że lada dzień uderzą na Niemcy... Ciekaw jestem jaki to może mieć związek z wersjami o proponowanej przez Marszałka wojnie prewencyjnej, o której sporo się czytało w prasie w ciągu kilkunastu ostatnich lat?

Warto wspomnieć, że wkrótce po przeniesieniu do Kartuz otrzymał Ojciec propozycję awansu na wojewodę. Odmówił, podając jako oficjalny powód iż nie czuje się na siłach, że "woli być jednym z 200 starostów niż jednym z 17 wojewodów". Istotnym powodem był jego pogłębiający się pesymizm; stopniowy zanik demokracji - w którą wierzył; nędza wsi i przeświadczenie, że nie robi się nic, lub bardzo mało dla polepszenia ekonomii kraju.

Garwolin okazał się tylko "stacją przejściową": niejako przygotowaniem do czekającego go "przeszkolenia". Wkrótce dostał przydział do Kobrynia - pomimo protestów ludności i delegacji chłopów domagających się pozostawienia go na miejscu.

I tu muszę, niestety, opowiedzieć jak postępowano z takimi "krnąbrnymi" urzędnikami. Wojewodą na Polesiu był Kostek Biernacki, znany z afery Brzeskiej, nawiasem mówiąc autor niesamowitej powieści "Diabeł Zwycięzca". Starostów, którzy coś zawinili, wysyłano na teren jego administracji, aby "dał im szkołę" - co niestety potrafił. Musieli się albo ugiąć i zmienić postępowanie, czyli stać się powolnym narzędziem, albo poprosić o dymisję - tracąc prawa emerytalne. Metody Kostka, wraz z całym ich barbarzyńskim założeniem nie powinny przesłaniać faktu, że był on zarazem doskonałym gospodarzem województwa i że bardzo dbał o ludność poleską. To mu Ojciec zawsze bezstronnie przyznawał. A o zachowaniu się tego "Kata z Berezy" w sowieckim więzieniu piszą z uznaniem i podziwem współtowarzysze niedoli. Natura ludzka widocznie potrafi połączyć w sobie najbardziej kontrastujące cechy...

Ojciec, już pełen złych przeczuć, pojechał do siedziby wojewody, aby się zameldować jako nowy starosta kobryński. Gdy wszedł do gabinetu Kostka ten nie wstając z fotela podniesionym głosem zaczął Ojcu wymyślać za "nieeuropejski wygląd"... Co miał na myśli - trudno zgadnąć bo Ojciec zawsze dbał o swój wygląd, a na tę wizytę zjawił się ubrany przepisowo w tużurek. Kostek wykrzykiwał, że czas zerwać z rosyjskimi obyczajami, ściąć wąsy /sic!/ i wogóle naśladować Zachodnią Europę! Tu już Ojciec nie wytrzymał:

- Większy niż ja ludzie też noszą wąsy i chyba Pan ich o brak kultury nie oskarża?"

Strzał był celny. Kostek zaniemówił... Przecież uwielbiany przez niego Marszałek był wąsaczem!

Ojciec, nie czekając na dalszy ciąg wypadków oświadczył, że jedzie do Warszawy, do ministra, aby na jego ręce złożyć podanie o dymisję, i że... przyśle sekundantów. Tu należy dodać, że staroście nie wolno było opuszczać terenu województwa bez pozwolenia wojewody.

Ministrem Spraw Wewnętrznych był Pieracki. Robił, co mógł, aby sprawę załagodzić, szczególnie że cenił Ojca za jego pracę. Twierdził że podpisał dekret przeniesieniowy bez zastanawiania się co się za nim kryje. Argumentował, że awantury nie da się ukryć... że opozycja tylko czeka na taką gratkę. Ojciec ustąpił, bo choć bynajmniej nie był zachwycony stosunkami panującymi w Polsce to uważał, że ówczesny rząd był jeszcze najlepszym w ówczesnej sytuacji. Inne możliwości, a więc władza skrajnej prawicy, już wtedy całkiem wyraźnie flirtują-

cej z faszyzmem - byłaby katastrofą. Lewica nie miała ludzi zdolnych do rządzenia, choć mogła się szczycić piękną przeszłością z dni walk o wolność, a masy chłopskie jeszcze nie dorosły do roli kierowników państwa. Bez względu na to czy miał rację - takie były jego przekonania i one wpłynęły na decyzję zaniechania zatargu i przyjęcia przeniesienia do Lidy. Sprawę zatuszowano.

Mniej więcej rok później Pieracki został zamordowany a Ojciec natychmiast otrzymał przeniesienie na niższe stanowisko, z cichą sugestią, że jeśli poprosi o zwolnienie z pracy to je otrzyma, nie tracąc praw do części emerytury. Tak też zrobił.

Przenieśliśmy się do Ostrowi Mazowieckiej, gdzie mieszkała matka Maryli, a Ojciec trochę pracował w Warszawie u brata pierwszej żony. Finansowo było ciężko.

Jeszcze w czasie pobytu naszego w Lidzie zmarł Marszałek... Trudno dziś sobie wyobrazić jaki to był szok. Wcale nie ma przesady w twierdzeniu, że ludzie dosłownie płakali na ulicach... I to nie tylko Legioniści. Dziadek był bardzo kochany na Kresach, symbolizował najlepsze tradycje polskości, a w dodatku z Kresów przecież pochodzi. Nawet jego uczciwi przeciwnicy polityczni zamilkli - choć nie wszyscy... Gazeta Warszawska zamieściła maleńki nekrolog obok... reklamy prezerwatyw. Wprawdzie została zamknięta, ale się szybko odrodziła, choć pod inną nazwą.

Po śmierci Marszałka wiele się na niekorzyść zmieniło. Zaczęły się ostre tarcia między frakcjami obozu rządowego, flirty z faszyzującymi grupami młodych "Narodowców" - tzw. ONR. Ojciec patrzył na to z przerażeniem.

...Miał zwyczaj chodzić wieczorami wzdłuż amfilady pokojów i coś do siebie cicho mówić. Od czasu do czasu podejmował z nami - synami - dyskusje i wiele, wiele mu zawdzięczam: potrafił jasno wytłumaczyć o co chodzi w różnych politycznych rozgrywkach. Był wówczas jednym z niewielu, którzy wyraźnie widzieli niebezpieczeństwo niemieckie.

Twierdził, że tylko oparcie się na masach chłopskich i robotniczych może nas uratować przed katastrofą, ale że nic się na tym polu nie robi. Pocieszał się tylko, jak i wielu innych, że mamy przecież dobrą armię na którą możemy liczyć. Miał o tyle rację, że ta armia choć przegrała kampanię wrześniową - bo ją przegrać musiała - to zadała Niemcom większe straty niż połączone siły Francji, Belgii, Holandii z Brytyjskim Korpusem łącznie w kampanii 1940 roku. Tu muszę z goryczą dodać, że prowadzona z wielkim entuzjazmem przez nasz rząd we Francji kampania "anty-sanacyjna" była po prostu wstrętna. To nie

tyle nasi alianci nie doceniali naszego wkładu do wojny, jak to wielu sądzi i dzisiaj, ile nasi "politycy" z tego smutnego okresu... To oni szkalowali wszystko co było w Polsce przed dojściem ich do władzy, przyznając jedynie łaskawie, że: "Żołnierz bił się dobrze". Są to sprawy już dawno przebrzmiałe i może nie warto już dziś do nich wracać...

W roku 1936 miasto Słonim, leżące w województwie Nowogrodzkim, ogłosiło wybory na burmistrza miasta. Ojciec zgłosił swą kandydaturę i został wybrany, pomimo pewnych oporów ze strony miejscowych przedstawicieli OZN. Był dość znany na kresach jako dobry administrator i to przeważyło. Miasto ładnie położone nad Szczarą i Kanalem Ogińskiego było, jak na tamtejsze stosunki, dość zamożne a budżet miejski łatwy do "łatania" dzięki lasom należącym do miasta.

Sytuacja ekonomiczna Polski zaczęła się powoli poprawiać. Budowa przemysłu zbrojeniowego w Centralnym Okręgu Przemysłowym stworzyła tysiące miejsc pracy. Szło ku lepszemu... Niestety na Kresach nadal panowała bieda, o jakiej dzisiaj mało kto ma pojęcie. Włóczęc się kajakiem po poleskich rzeczках i jeziorach widziałem nędzę i prymityw trudny do opisanie. Szerzona tam komunistyczna propaganda była efektywna, bo trafiała na chętnych słuchaczy. Ojciec mawiał, że gdyby po drugiej stronie granicy zamias Rosji leżały Chiny a ich propaganda głosiła: "Noście warkocze, a będzie wam lepiej" - to ludzie zaczęliby zaplatać warkocze... Rezultaty tej biedy i spowodowane nią nastroje odczułem na własnej skórze w 1939 roku, służąc w oddziale ochotniczym - ale to już do tego opowiadania nie należy.

Z okresu pobytu w Słoniemiu pamiętam ciekawy proces byłego starosty- Czarnockiego- o sprzeniewierzenie funduszków państwowych. Prasa krajowa pełna była opisów sesji sądowych. Czarnocki tłumaczył się, że na polecenie wojewody pobrał kilka tysięcy złotych na akcję wyborczą, ale zabroniono mu przedstawiania kwitów na sumy wydane na propagandę. Obiecano mu, że nikt nie będzie nigdy wymagał od niego rozliczeń: sprawa ma być poufna... Czytając relacje prasowe Ojciec opowiedział nam szczegółowo jak to było z jego odmową przyjęcia pieniędzy na taką akcję w Kartuzach.. Wprawdzie za odmowę ucierpiał, ale nie pobrudził sobie rąk... Trudno powiedzieć, czy Czarnocki był zupełnie niewinny, ale wszystko wskazuje na to, że przed sądem mówił prawdę. Może te słowa, jakimś cudem, trafią kiedyś do jego potomków i sprawią im satysfakcję?

Na rok, czy dwa lata przed wojną, Ojciec otrzymał zawiadomienie, że przyznano mu Złoty Krzyż Zasługi. Odmówił przyjęcia go bez podania powodów. Jedynie w domu stwierdził, że skoro nie należało mu się takie odznaczenie w czasach- gdy był starostą- tym bardziej nie zasługuje na nie teraz, gdy pełni znacznie mniej efektywną i odpowiedzialną funkcję. W tej decyzji był "cały Ojciec". W jego charakterze mieścił się i socjalizm, i "chłopomaństwo" i ogromna- jakby szlachecka-ambicja i poczucie własnej wartości przy zdolności do zaniechania dochodzenia swych praw w sytuacjach mogących szkodzić krajowi, lub wyświechtanie których byłoby może nie na czasie.

...Wojna zastała nas w Słonimiu. Pamiętam jak w czasie słuchania komunikatów radiowych, w ostatnich dniach sierpnia 1939 roku, padła straszna wieść o porozumieniu Niemiec z Rosją. Ojciec odłożył trzymaną w ręce gazetę, czy książkę, przetarł oczy i głosem jakby bez intonacji i wyrazu powiedział: "To już koniec".

Został aresztowany przez Sowietów. Siedział jakiś czas w więzieniu w Słonimiu - potem w Mińsku, gdzie go spotkał mój brat, również skazany za to, że był Polakiem. Gdy Ojca wywołano z celi na transport zdążył tylko powiedzieć: "Trzymaj się, Bronek"...Od tej pory ślad po nim zaginął.

Już ostatnio zwracałem się do konsulatu w Mińsku, prosząc o jakiegokolwiek informacje o jego losie. Przysłano mi odpowiedź z mińskiego KGB, że nie posiadają żadnych dokumentów "z okresu represji" i że moskiewskie KGB nie udziela informacji. Spotkał Go więc los taki, jak tysięcy innych.

Do tego, co o nim napisałem, chciałbym na zakończenie dodać kilka słów wyjaśnień. Może ewentualny czytelnik odniesie wrażenie, że niepotrzebnie wyciągam na światło dzienne fakty i zdarzenia źle świadczące o rzeczywistości w okresie Drugiej Rzeczypospolitej. Absolutnie nie mógłbym się z takim stanowiskiem pogodzić. Prawdy ukrywać nie należy, a zresztą trzeba pamiętać, że mimo tych "brudów" było i wiele dobrego, że pod względem politycznych skandali nie byliśmy gorsi od innych... Ani Francja, ani inne kraje Zachodu nie były pod tym względem czyste.

On milczał. Ja zaś uważam, że coś się należy pamięci jego i tysięcy jemu podobnych.

...Pozostała po nim tablica pamiątkowa na ścianie kościoła św. Karola Boromeusza na Powązkach i trwa on w pamięci synów - ale my, synowie, też już odchodzimy. Niech te kartki - nieudolnie pisane - będą skromnym świadectwem Jego Życia i Pracy.

Pisane w Hamilton, Australia,  
w roku 1992.

Jan Bieńkiewicz.

© ARCHIWUM WSPOMIENIE